

Wigilia



BOLESŁAW PRUS

Wigilia

Kiedy już przyniosłem, mówiąc między nami, jakąś bardzo niewyraźną babinę, kupioną za własne (krwawo zapracowane!) trzydzieści kopiejek, kiedy własną ręką w piecu napaliłem i własnymi obcęgami nakładłem węgli do własnego a pękatego samowara, wyznaję — że jakoś głupio zrobiło mi się na sercu.

Co u diabła! ja osoba taka porządna, tak sławna, ja, podpora i współpracownik tyłu pism periodycznych¹, ja — mający tu krewnych, tam przyjaciół, ówdzie powinowatych — będę sam jak palec, wówczas, gdy najostatniejszy z roznosicieli „Kuriera” cieszy się w kółku familijnym?

Wprawdzie byłem wczoraj „na rybce”, no — ale to na dziś nie wystarcza. Nie jestem głodny, nie zimno mi, wołałbym jednak w tej chwili patrzeć na jakąś zadowoloną twarz ludzką, która z wykwintnych apartamentów moich wygnałaby nudy i zły humor...

Czuję, że jestem rozwścieczony na cały świat. Gdybym mógł, zmiażdżyłbym księżyc na tabakę, ziemię na jakie sto lat cofnąłbym w biegu, a słońce zamroziłbym tak, że aż by kwiknęło. Ponieważ jednak tego robić nie wypada, rzucę więc o podłogę stołkiem, aż mu się nogi rozleczą. Walentemu, kiedy przyjdzie mi wieszować, pokażę cierpki grymas, gospodarzowi wytoczę proces za to, że jeszcze nie dał mi piwnicy...

— Jak się masz, niedołego?...

— Tylko bardzo proszę...

Oglądam się... za mną jakaś jejmość... Czepek z żółtym fontaziem² i tiulikiem w zęby, watowane kaftanisko pachnie rybami, jak u śledziarki; w jednej kieszeni makagiga³; w drugiej pajac, pod pachą zaś cynowy sprzęt z drewnianą rękojeścią... A jaka talia u tej damy!... We trzech nie objęlibyśmy... — bodajem brał po sześć groszy od wiersza, jeżeli mówię nieprawdę!

— No! i cóż się tak gapisz? — wrzasnęła jejmość.

— Z kimże mam honor?... czy nie pani Lucyna?...

Wymówiłem imię to na chybił-trafił, przypuszczając, że ono najlepiej pasować będzie do postaci, jednoczącej w sobie wielką energię i niepospolitą gospodarność.

— Czyś zwariował?... Jaka Lucyna?... Nie Lucyna, tylko: Wigi... lia. Rozumiesz?...

— Wigilia?... Dalibóg, ładne imię. Niechże pani będzie łaskawa...

— Dlaczego mnie tytułujesz panią, mazgaju, kiedy widzisz, że jestem duchem?

— Duchem?... W każdym razie Wigilia to... zawsze niby płeć żeńska.

— Duchy nie mają płci...

— Doprawdy?... Czy...

— No, no, no... Dość już tego! Zabieraj się i wychodź, bo na romanse nie mam czasu.

Przypuszczając, że ręce korpulentnej damy mogą w razie potrzeby obracać się równie szybko, jak język, wciągnąłem co rychlej futro na grzbiet i czapkę na uszy; w parę zaś minut później byliśmy na ulicy.

*

¹pismo periodyczne — czasopismo. [przypis edytorski]

²fontaż — dekoracyjna wstążka. [przypis edytorski]

³makagiga — ciasto z maku, miodu i orzechów. [przypis edytorski]

— Dalej nie pójde, pani dobrodziejko! — mówiłem do mojej towarzyszki, trzymając się oburącz bariery wydywanionych schodów. Dalej nie pójde, bo jeżeli nas kto zobaczy, to... pani wiesz?

— Przywidzenie! — mruknęła dama, kładąc tłustą rękę na kryształowej klamce. — Mnie nie zrobią nic, no — a ty się wytłumaczysz... Wreszcie redaktorowie za tobą poręczą.

Popchnęła drzwi, mnie we drzwi, i otóż znaleźliśmy się w przedpokoju.

Salony, meble, światła... Pulchna figurka mojej towarzyszki jak najdokładniej odbija się w podłodze; dywan na stole, dywan pod stołem, aksamity na kanapie... Na marmurowych słupach stoją urny i bocianowate dzbany etruskie, fotele takie, że na najgorszym z nich z całą satysfakcją usiadłbym nawet wówczas, gdyby mi głowę w tej pozycji zdjąć miano. A portiery⁴... A złote kutasy⁵, ciężkie jak grzech śmiertelny!

Westchnąłem.

— Mój Boże! jakby też to mnie chudeuszowi wigilia smakowała w takim salonie!...

— Spójrzyj! — szepnęła moja przewodniczka.

Wsunąłem głowę pod jej ramię i zasłoniony portierą patrzałem.

W salonie były dwie osoby: młoda i piękna blondynka (cukiereczek! — powiadam), w powłóczystej sukni, i jakiś tyle chudy, ile znudzony frant, który siedząc na kanapie, przekładał nogi; a palcami cesał dosyć rzadkie faworyty⁶.

— Karolu, więc wychodzisz? — pytała blondyneczka głosem, który przeszył mi serce, jak materac tapicerska igła.

— Zostanę, Anielo, byłeś mnie tylko... — odparłem.

— A cicho tee!... — mruknęła Wigilia, przyciskając mi bardzo poufale łokciem głowę do swojej watowanej talii.

— Muszę wyjść, duszko, jak cię kocham — teraz dopiero odpowiedział frant, znowu przekładając nogę.

— Więc zostawisz mnie samą nawet w tym dniu, Karolu?...

Ostrze głosu blondynki przeszło mnie gdzieś pod łopatką i oparło się na futrze.

— Przesady! sentymentalizm!... — ziewnął frant.

— Nie dbasz o mnie...

— Zdaje ci się tylko, aniołku — odpowiedział eleganc, stając. — Gdybym o ciebie nie dbał, a i zwyczajów dawnych nie obserwował, nie kupiłbym ci przecież na kolędę garnituru za 315 rubli i pół, licząc w to dorożkę. No, bądź zdrowa!

To powiedziawszy, pochylił się nad piękną damą w powłóczystej sukni, ucałował kwiatek, który miała we włosach, i wyszedł.

W tej chwili w przeciwnych drzwiach salonu ukazał się lokaj:

— Waza na stole, proszę jaśnie pani!

— Możecie jeść — odpowiedziała, zasłaniając twarz chustką.

— Jaśnie pani nie będzie jadła wigilii?

— Z kimże?...

— Ze... — odezwałem się.

— Cicho! — mruknęła stara, wyprowadzając mnie na schody.

O blondynko, blondynko! gdybyś wiedziała, jakie serce biło dla ciebie z drugiej strony eleganckiej portiery...

*

Znowu zatrzymaliśmy się, tym razem przed żółtym, parterowym, wykoszlawionym, starymi gontami pokrytym domkiem, na którego widok, nie wiem z jakiej racji, przypomniałem sobie pieśń ludową:

„Chałupeczka niska” itd.

Wigilia oparła się o futrynę okna, ja stanąłem przy niej. Boże kochany! wszak ci ludzie nawet podwójnych okien nie znają, a wątpię, aby ogrzała ich ta muślinowa firanka i piec zakopcony, w którym tli się szczypta węgielków.

⁴portiera — gruba, ciężka zasłona u okna lub drzwi. [przypis edytorski]

⁵kutas — zwisająca ozdoba ze sznura w formie pędzla. [przypis edytorski]

⁶faworyty — baczki. [przypis edytorski]

Na środku pokoju stół nakryty białym, nieco przykrótkim obrusem, obok — krzesła: jedno wyściełane, drugie drewniane i prosty stołek. Tapczan w jednym kącie, dziecinne, niegdyś politurowane łóżeczko z kratami w drugim, między nimi drzwi do alkierza⁷ i — oto wszystko.

W mieszkaniu trzy osoby: starzec ślepy, jakaś wybladła kobieta i dziecko w żałobie.

— Ojczulku, już gwiazdy weszły, siadajmy! — zaczęła kobieta.

— A cóż nam imość dasz dzisiaj? — spytał stary.

— Jest, dziadziu, barszcz, jest, dziadziu, śledź, i są, dziadziu, kluski — odpowiedziało dziecko.

— Ho! ho!... bal!...

Tymczasem kobieta podała opłatki; łamali się i całowali.

— Ojczulku — rzekła znowu starsza — oto szalik na gwiazdkę, będzie ojczulkowi cieplej.

— A ja dziadziowi dam ołówek tabaki...

— Dziecino ty moja, Haniu serdeczna! — zawołał starzec, szukając rękami głowy dziewczynki — ja tabaki nie zażywałem, żeby tobie tę ot lalunię kupić, a ty mnie znowu tabakę dajesz, pewno z bułeczek twoich?...

I wydobył z za pazuchy kilkogroszową lalkę w różowej sukni.

— Jaka śliczna! — zawołało dziecko.

— A tobie, Kasiuniu, także szalik kupiłem... Ładny?

I podał kobiecie chustkę włóczkową.

— Czerwona, ojczulku...

— Bodaj tych Żydów! — mruknął stary. — Mówili, że czarna...

Zakołatano we drzwi.

— Prosimy! a kto tam?...

Na progu ukazał się tęgo zbudowany facet w kozuchu.

— To ja, sąsiad... (bodaj mnie roztratowali!...) Niech będzie pochwalony...

— Pan Wojciech! — zawołała kobieta. — Na wieki wieków...

— Podaj opłatki, Haniu — rzekł starzec, wyciągając ręce.

— Bo ja tu, z przeproszeniem, przyszedłem państwa prosić do nas na wilię. Stara, panie, Zosia i reszta (bodaj mi oś pękła na środku drogi) wszyscy hurmem proszą. Ot, co jest!

Przy tych słowach mówca plunął przez zęby.

— A panie Wojciechu, jakżebyśmy też śmieli panu robić subiekcję⁸?...

— Nic z tego (bodajem onosaciał⁹!) Nie odejdę bez państwa...

— Zawsze w domu... — mówiła nieśmiało kobieta.

— A cóż to w domu? czy tu państwa kto na kantarze¹⁰ trzyma (bodajem Żydom wodę wozil!...), czy co?

Niepodobna¹¹ było opierać się dłużej tak kordialnym¹² prośbom; wziął więc starzec córkę pod rękę, wnuczkę za rękę, i wyszli.

Cała kawalkada zetknęła się z nami na podwórzu.

— Niech was Bóg błogosławi! — zawołała Wigilia.

— Panie Boże zapłać! — odparł pan Wojciech, pilnie się nam przypatrując. — Biedactwo jakieś — dodał po chwili.

— Chodźciez i wy z nami (bodaj mnie rozjechało!), a pokrzepicie się trochę.

Poszła Wigilia z nieukrywaną radością, a ja za nią z rozpaczą w sercu; zaprosiny te bowiem diabelnie zachwiały wiarę, jaką dotychczas pokładałem w moim futrze i czapce.

Ledwieśmy weszli, tłum nas otoczył.

— A co? — wołał triumfujący pan Wojciech. — Mówiłem (bodajem z piekła nie wyjrzał!), że państwo nie pogardzą nami.

— Hania! Hania!... — piszczwały większe i mniejsze dzieci.

⁷alkierz — sypialnia. [przypis edytorski]

⁸subiekcja (daw.) — kłopot. [przypis edytorski]

⁹onosacieć — zapaść na nosaciznę, chorobę bydła. [przypis edytorski]

¹⁰kantar — uзда bez wędzidla, służąca do trzymania zwierzęcia na łańcuchu. [przypis edytorski]

¹¹niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

¹²kordialny (daw.) — serdeczny. [przypis edytorski]

— Haniu! ja dla ciebie schowałem złocone orzechy...

— A ja konia...

— Haniu!... a ja...

— Stańcie sobie ludzie kochani przy progu — zwróciła się do nas pani Wojciechowa, dama z czerwonym nosem i zapadłymi policzkami.

— A to jest, proszę państwa — mówił Wojciech do gości — to jest pan Władysław...

— Władysław Dratewka! — rekomendował się starannie uczesany młodzieniec, w jasnym żakiecie i palonych butach.

— Absztyfikant¹³ do mojej Zośki — dodał Wojciech.

Okrągłutka osoba, nazwana Zosią, zacerwieniła się jak ćwikła. — Niech państwo będą łaskawe siadać — prosiła gospodyni.

Gdy starsi zajęli miejsca, a chmara dzieci przyczepiła się też do stołu, pan Wojciech zaczął:

— Pobłogosław, Panie Boże, nas i te dary...

— No, mamuniu!... Stach wszystkie uszy z mego barszczu zabiera...

— Cicho, Franek, bo cię palnę!... Pobłogosław, Panie Boże...

— Wanda! nie pchaj się — wrzasnęło drugie dziecko.

Z wielkim trudem udało się panu Wojciechowi dokończyć zaczęłą modlitwę, po poprzednim wytarganiu kilku czupryn. Poczęto jeść, dano i nam, dano też i psu kudłatemu, który ze zwieszonym ogonem a podniesionym uchem pilnie przypatrywał się stołowi.

— Jaka to szkoda — mówił świetny konkurent Władysław — że mnie majster wcześniej nie puścił.

— A bo co? — spytała panna Zofia.

— A bo bym pannie dopiero maku utarł... ech!...

— Panby nawet nie spotrafił.

— Mogiem żara spróbować — odparł w każdej chwili gotowy do uprzejmych usług kawaler.

— Widzi mamunia, ten Stach...

— Cicho, wywłoki! — huknął gospodarz.

Przy końcu kolacji, którą oporzędzono w sposób godny uwagi, pan Wojciech plunął na środek i zabrał głos:

— Na świecie coraz gorzej, żeby mnie piorun trząś! Nalej Zosiu, panu...

— Święta prawda — odpowiedział starzec.

— Za moich czasów, panie, choinki były takie, że by sam człowiek wlaź na nią, a dziś (bodaj się most pode mną załamał!), jak biczyńska.

— W jednym względzie to jest gorzej, a w drugim to jeszt szto raży lepiej — upewniał pan Władysław.

— W żadnym lepiej...

— Czo tam pan Wojciech barłoczy¹⁴!...

— W żadnym, powiadam, a kto mi tu będzie gadał inaczej...

— A chy! a chy!... a chy!.. — zakrzusilo się dziecko.

— Święta Panno! — zawołała Wojciechowa. — Franek się dławi...

— Pał go w kark!... Ot co jest!...

Gałązka Wojciechowego rodu została ocalona, ku wielkiej uciechu pana „Władyszława”, który upewnił wszystkich, że: „gdyby Frankowi oś wlaźła w *grzdykę*, to byłoby *ausz...*”

— Powiadam panu, że złe czasy, najlepiej miarkować¹⁵ po koniach — zaczął gospodarz na nowo. — Ze dwadzieścia lat temu wypadła mi na każde dziecko para koni, potem tylko jeden, a teraz panie para na troje. Bodaj mi oś pękła, jeżeli szczekam!

— A co to panu Wojciechowi za krzywda?

— Zawdy para na troje — mówiłem!

Po tych słowach zamyślił się, plunął aż za piec i zawołał:

— Basta, moja panno!

¹³absztyfikant (pot.) — konkurent w znaczeniu: kandydat na narzeczonego. [przypis edytorski]

¹⁴barłoczyć (daw.) — pleść bzdury. [przypis edytorski]

¹⁵miarkować (daw.) — dostrzec, zorientować się. [przypis edytorski]

Uważając ten wykrzyknik za hasło do odejścia, trąciłem Wigilię. Ukłoniliśmy się gospodarzom, wzięliśmy jeszcze po trojaku i po kawałku strucli (którą w prywatnym lokalu moim można widzieć) i wyszliśmy, błogosławiąc domowi.

Gdy byliśmy już w końcu podwórza, doleciał nas basowy głos pana Wojciecha, który zaintonował:

„Panna porodziła maleńkie Dzieciątko,
W żłobie położyła małe Pacholątko...”

kobiety dodały:

„*Funda, funda, funda!*...
*Tota risibunda*¹⁶,
Hej, kolęda, kolęda!...”

W egzekucji¹⁷ ostatniego trójwiersza wzięły już udział wszystkie basy męskie, przede wszystkim sopran i tenor, a nie mogąc z powodu mojej nieumiejętności wywijać ze mną, porwała jakiegoś kalekę na szczydach z takim entuzjazmem, że oboje o mały włos nie dostali się pod przejeżdżające sanki.

*

Jeżeli, droga czytelniczko, chcesz poznać jednego z najzapamiętaleszych wielbicieli płci pięknej, jacy egzystowali na świecie, to uważnie przypatruj się wszystkim safandulom¹⁹, chodzącym w nietrzepanych futrach. Jeżeli zaś u którego z tych panów spostrzeżesz kołnierz odlażący od szuby, wówczas ciesz się i bądź dumna, albowiem owym panem — ja jestem!

Pókiśmy, jak zwykli śmiertelnicy, chodzili z Wigilią po ziemi, kołnierz mój był cały; naderwał się dopiero wówczas, gdy szanowna dama, pochwyciwszy mnie w sposób tak bezceremonialny, jak pustą konewkę, siadła na zabawkę, przypominającą narzędzia doktora medycyny, i wzbila się w powietrze.

Ręką ani nogą nie mogłem ruszyć, gdyśmy przez dymnik²⁰ wjechali na strych zgrzybiałej czteropiętrowej kamienicy. Jakże tu zimno i pusto! Para nadgniłych sznurów, na nich kilka szmat wątpliwego koloru, w kącie paka, zapełniona skorupami garnków i butelek, pod kominem najeżony kot, który zdawał się chuchać w palce, a w jednej ścianie małe, pozalepiane papierem drzwi, za którymi ktoś chodził, siadał czy też kładł się i kiedy niekiedy kaszłał.

Gdy przez nadpróchniałą poręcz spojrziałem na dół, dostrzegłem słabe światełko w takiej głębi, że mi przysłała na myśl owa od spodu do szczytu okseftami²¹ zapełniona Bernardyńska piwnica, w którą kamień rzucony na Boże Narodzenie, leci aż do Wielkiej Nocy. Światełko chwiała się w sposób arcydrużnacny, chybotaniu zaś towarzyszyły takie szmery, jakby ktoś z wielkim trudem wstępował o trzy schody w górę, a następnie z wielką łatwością opadał o dwa na dół.

Cień niosący światło przeszedł w ten sposób drugie, trzecie i czwarte piętro, zatrzymując się za każdym razem i głośno ziewając:

— A-u!...

Gdy wstąpił na drabinę, prowadzącą z czwartego piętra na nasz stryszek, zachwiał się jeszcze bardziej i byłby niezawodnie przez parter zajechał na Powązki, gdyby go za kark nie pochwyciła silna ręka Wigilii.

¹⁶*Funda, funda, funda! Tota risibunda* (łac.) — wydawajcie z siebie same radosne [dźwięki]. [przypis edytorski]

¹⁷*egzekucja* (z łac.) — wykonanie. [przypis edytorski]

¹⁸*dyszkant* — wysoki głos chłopięcy. [przypis edytorski]

¹⁹*safandula* — osoba niezaradna i pozbawiona energii. [przypis edytorski]

²⁰*dymnik* — niewielkie okienko w dachu. [przypis edytorski]

²¹*oksefti* (daw.) — miara pojemności cieczy a. rodzaj naczynia. [przypis edytorski]

Pod czarodziejskim wpływem tego dotknięcia ziewający człowiek stanął równymi nogami na naszym poziomie, wyprostował się i mruknął:

— Hej, kołęda! kołęda!

Był to mężczyzna już szpakowaty, w starym kożuchu. Zamiast czapki zdawał się mieć bardzo żwawo pokudlane włosy, świeżą kresę na prawej stronie pałkowatego nosa i jeszcze świeższe ślady czterech palców na lewym policzku. W prawej ręce niósł brudną latarkę, w lewej dwojaczki i bułkę pod pachą.

Jestem pewien, że gdyby wyziewy spirytualne miały własność układania się w formę obłoków, nasz nowy przyjaciel byłby w tej chwili podobny do podstarzałego cherubina, któremu ktoś życzliwy okrutnie wygarbował skórę.

Na krzyk: „Hej, kołęda! kołęda!” i odgłosy niepewnego stąpania, wyklejone papierem drzwi uchyliły się, i ujrzałem w nich wychudłą twarz młodzieńczą, wśród której iskrzyły się zapadłe i dziwnym wyrazem ożywione oczy.

— Kto tam?...

— Jo!... Antoni, strus,... przyjsetem...

Z tymi słowy mężczyzna w kożuchu uderzył głową o niską futrynę i wszedł do izby.

Stare, wąskie, na żółto pomalowane i okrutnie pomiętoszone łóżko z Pocijowa, dzban bez ucha, lampa z przypalonym papierowym kloszem na okrągłym stoliku, wielkości dużego czworaka, nareszcie cały stos papierów i książek — oto umeblowanie izby, którą w dzień miało oświetać małe kwadratowe okienko, a teraz ogrzewa żelazny piecyk.

— Ehe he!... — zaczął stróż. — To pan niby całą odwieczność nie wychodził z domu?

— Nie — odpowiedział krótko młody gospodarz.

— Jo tu... żeby tak z pozwoleniem łaski pański... bo tu przyniosłem... Je tu trocha grusek, a tu kapusta, a w kapuście plotka. Wsadziłem ją bestyje do góry ogonem, żeby świata nie widziała. Tyż i placek je...

Gospodarz chwilę pomyślał, i biorąc podawane efekta, wyszeptał:

— Dziękuję... Bóg wam zapłać... może kiedyś...

— I, co tom!... Ale gdzie jo tu łyżkę podzionem?... Tu nima i tu nima?... Ho! ho! dyć²² siedzi, siedzi za cholewą, ondzie...

Mizerny młodzieniec wziął łyżkę, usiadł na krawędzi pościeli i począł jeść żarłocznie.

— Taki tu ziąb, a pan chodzi bez nicego.

— Gorąco mi — odparł gospodarz i zakaszłał.

— To tak panu bez te piersi i bez te goroncke... Jobym jedno tyło lekarstwo broł: słoninę i wódkę. Sprawiedliwie!

Młodzieniec jadł.

— Ale wódkę cystą, jak oko! Bo to, panie, Zydy mi dzisia dały jazambówki, co panie musioł w ni być witról²³... sprawiedliwie!

Chory jadł, odkładając wówczas tylko łyżkę, gdy kaszłał.

— Pedom panu, ino com wypił drobinkę, jak mnie panie nie weźmie, jak mnie panie nie rzuci... Tylom co zased do sieni, jak mnie drugi raz nie weźmie, jak drugi raz nie ciśnie, a tu ci panie jak moja baba nie wypadnie, jak ci mnie nie weźmie motać... Eh panie! od samego ożenku nie dogodziła ci mi tak, jak dzisia! Sprawiedliwie...

Młodzieniec zjadł, postawił dwójniaki²⁴ na podłodze, oparł głowę o ścianę i obnażoną, zapadłą pierś okrył kołdrą, która niegdyś musiała mieć zapewne kolor.

— Pan tak zawdy na wili som? — zapytał Antoni.

— Już trzeci rok.

— A niby dawni to niby pan miał zawdy kogości?...

Młodzieniec ożywił się.

— Ba!...

Chwila milczenia.

— Pamiętam, kiedym miał osiem lat, poszliśmy z matką do wuja. Nie było daleko, ale że wysoki śnieg upadł, wzięła mnie służąca na rękę...

Zakaszłał.

²²dyć (gw.) — przecież. [przypis edytorski]

²³witról — kwas siarkowy. [przypis edytorski]

²⁴dwójniaki — połączone ze sobą naczynia. [przypis edytorski]

— Co tam było gości, dzieci!... darowali mi pałasz... sprowadzili furę siana pod stół... na choince zapalili mnóstwo świec... trzy dni je robiła matka z ciotką, a jak się kryły, ażeby nam nie pokazać... Cha! cha! cha!...

Milczenie.

— Ona dostała lalkę porcelanową i muślin na suknię. Pamiętam doskonale: szafirowe oczy, czarne jak smoła włosy, a reszta z irchy. Gdyśmy ją rozpruli, wysypały się otręby...

Znowu kaszel gwałtowniejszy, niż pierwej. Na twarz opowiadającego wystąpiły ceglaste plamy, z oczu tryskały błyskawice.

— Moja ty ptaszyno najdroższa!... pewnie samotna jesteś, jak i ja dziś... Myślisz, że cię nie widzę?... Spójrzyjże... no, spójrzyj!... Prawda, ty nie możesz słyszeć mnie z takiej odległości...

Gdy to mówił, koldra opadła mu z piersi; drżał, wyciągał ręce przed siebie, a oczy partrzały tak bystro, jakby aż na drugą stronę grobu miały sięgnąć. Tymczasem wiatr szumiał w dymniku, a po ścianie izby sphywała wilgoć.

— Muszę pójść do doktora, on mnie wyleczy. Potem do Szczawnicy... Trzeba się odżywić, a potem... już nie będziemy samotni...

Pac! pac! pac! — odpowiadały spadające krople.

— Zbytków²⁵ u nas nie będzie; może być jeszcze dużo kłopotów... ale już wspólnie... Razem! razem!...

Pac! pac! pac!...

O, jaki to straszny dom, co wdycha i ściany, które płaczą!

Chory znowu zakaszłał i ocknął się.

— Antoni!... Antoni!...

— Zara!... Zara!... — odpowiedział stróż. — Aa... to pon?...

— Czuć jakąś spaleniznę?...

— Aa... o... bodajcie!... oparem się trocha o piec i na nic mi kożuch przypaliło... sprawiedliwie!...

*

Tym razem znaleźliśmy się w domu niesłychanie ożywionym. Ze wszystkich stron dolatywały nas odgłosy stąpania po schodach i korytarzach, za oknem słyhać było dzwonki przejeżdżających sanek, pod podłogą brzęczał fortepian, zagłuszany kiedy niekiedy szmerem nóg i wybuchami śmiechu.

Staliśmy w pokoju ciemnym, przy drzwiach zamkniętych, za którymi ktoś chory jęczał, a naprzeciw drzwi otwartych, prowadzących do pokoju słabo oświetlonego. Tam, gdy się wpatrzył lepiej, dostrzegłem mnóstwo sprzętów, fotografii i dwie młode kobiety.

Jedna z nich, ubrana w zieloną suknię, okryła się chustką, włożyła coś w pokrywę zepsutego pudełka i wybiegła.

Udaliśmy się za nią.

Minawszy schody pierwszego i drugiego piętra, część sieni i małe podwórko, panna w zielonej sukni zatrzymała się przed szklanymi drzwiami suteryny²⁶, w której głębi widać było światło nafcianej lampki.

W czarnej stęchłym powietrzem napełnionej izbie, prócz kilku tapczanów, stołu i ławy nie było innych sprzętów. Z mieszkańców znaleźliśmy tylko troje dzieci zajętych zabawą.

Głos fortepianu z pierwszego piętra i tu dolatywał.

Usłyszawszy brzęk otwieranych drzwi i szelest wchodzącej, najstarsza dziewczyna podniosła głowę i zapytała:

— Kto tam?

— To ja, Anielka, nie bójcie się. A gdzie starzy?

— Mama w poddle — odparła dziewczyna.

— Cóż ona tam robi?

— A bije się od rana z Grzegorzową.

²⁵zbytek — luksus. [przypis edytorski]

²⁶suteryna — kondygnacja między parterem a piwnicą, przeznaczona na tanie mieszkania. [przypis edytorski]

Teraz dopiero usłyszałem gdzieś w sąsiedztwie przytłumiony hałas, który równie do-
brze oznaczać mógł wesołą zabawę, jak kłótnię, a nawet bójkę.

— Jedliście co? — badała w dalszym ciągu przybyła.

— Jedliśmy, panienko, w południe kartofle ze śledziem.

— A cóżeście dostali na kolędę?

— My nic, ale Jasiek dostał w niedzielę surdut od tatki.

Istotnie średni chłopak dźwiगाł na sobie długą do kolan szatę, która po bliższym
przypatrzeniu się okazywała dużo podobieństwa do kamizelki z tyłu i z przodu otwartej.

— No, ustawcie się, przyniosłam wam jeść.

— Mnie jeść! — zawołała dziewczyna mniejsza, strojąc głos do płaczu.

Dziecko to siedziało na ziemi i co czas jakiś uderzało blaszaną łyżką w patelnię.

— Cicho! dostaniesz i ty. Macie tu struclę: naści tobie... tobie i tobie.

Dzieci stanęły rzędem podług wzrostu, opierając głowy o krawędź stołu.

— Tu są figi... No, bierzcie! A tu... sama nie wiem, jak się to nazywa, ale jedzcie, bo
słodkie.

— Aj! prawda, panienko, że słodkie.

— A to szczupak.

— Szczupak?... Patrz, Jasiek, szczupak! — rzekła starsza dziewczyna do chłopca.

— Aaa!... — dziwił się chłopiec — patrz, Magda, szczupak...

— Szczupak! — wybelkotało dziecko, wsadzając palec w pół otwartą paszczę ryby,
którą chłopak w tej chwili przycisnął ze śmiechem.

— Oj! oj!... kasa... kasa! — zapłakało dziecko — U... u!...

— To paskudne chłopczyśko! — oburzyła się panna w zielonej sukni — chudy jak
wędzonka, a zły jak pies. Poczekaj, nic teraz nie dostaniesz.

Z kolei chłopiec zaczął płakać, uspokojono go jednak niebawem i ustawiono w sze-
regu. Młoda dziewczyna kruszyła resztki szczupaka, przy słabym i migotliwym świetelku
wydobywała ostre kości, i biegając z szelestem od dziecka do dziecka, w otwarte usta
kładała drobne kęski ryby, jak ptak karmiący pisklęta.

Tymczasem fortepian brzęczał, a w sąsiedztwie nie ustawała kłótnia.

— Już nie ma nic... możecie się teraz bawić — odezwała się panna.

Usłyszawszy to, chłopiec i mniejsza dziewczyna, jak na komendę, siedli na ziemi,
zabierając się do nowego koncertu na patelni.

— Gdzież ojciec?

— Tatko w cyrkule²⁷ — odpowiedziało najstarsze dziecko.

— W cyrkule! — powtórzyło najmłodsze.

— Patrzaj? ... Za cóż to go zdmuchnęli?

— A bo tatko coś ukradł...

— Tatko układ! — wysepleniło dziecko na ziemi, uderzając łyżką w patelnię.

— To źle.

— Ma się wiedzieć, proszę panienki, że źle, kiedy kogo złapią.

— A kraść to dobrze?

*

„O Halino! o jedyna
Dziewczyno moja...
To wina twoja...
Ach, tylko twoja!”

Tak śpiewał, najosobliwszym tenorem, ktoś chodzący po pokoju w sposób, który
wskazywał wielką alterację²⁸ wewnętrzną.

Jak wyglądał śpiewak — nie wiem, ponieważ oboje z Wigilią staliśmy w małej i do-
skonałe ciemnej komórcie, należącej do obszerniejszego lokalu, w którym zapach wody

²⁷cyrkul — komisariat policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

²⁸alteracja (daw.) — niepokój, wzburzenie. [przypis edytorski]

kolońskiej, kamfory, paczuli²⁹, asafedy³⁰ z mnóstwem innych, a nie mniej przejmujących walczył o lepsze.

Gdy się namyślał nad sposobem rozwiązania nowej zagadki, Wigilia trzykrotnie zapukała we drzwi. Za chwilę potem ujrzałem jakąś ufryzowaną głowę, pachnącą migdałowym olejkiem, dalej karminowe usta, pachnące różaną maścią, skrzydlaty krawacik, pachnący millefleur'em³¹. Żwawy właściciel tych wszystkich osobliwości, nie patrząc nawet na nas, odskoczył jak kangur do drugich drzwi, które wiodły do sieni.

— Aaa... anielska panna Maria! — wykrzyknęła nagle ufryzowana głowa. — I dokąd w porze tak spóźnionej?

— Dobry wieczór panu! Idę aż na Nowe Miasto.

— Jak to, samotna? pozbawiona czujnego oka przyjaźni?...

— Kiedy nie mam z kim... Chi! chi! chi!

— Szydzisz pani, wszakże ja jestem! — zawołał miły młodzieniec, ciągnąc pannę do swego wonnego przybytku. Najwyżej za pięć... co mówię? za minutę, wróci Ferdzio, zastąpi mnie w pełnieniu moich obowiązków, a wtedy...

— Albo to prawda, że on tak prędko wróci? Chi! chi! chi!

— Na popioły matki mojej, tak prawda! A wreszcie choćby się nawet i opóźnił trochę...

— O, to by było bardzo źle!

— Owszem, to było by bardzo dobrze, bardzo wzniosłe, panno Mario, ponieważ zyskałbym sposobność wypowiedzenia pani tego, co jak kamień Syzyfa ugniata mi serce.

— I i i... ja nie rozumiem, co pan mówi.

— Nie rozumiesz pani?... O gorzka ironio najwyrafinowańszego okrucieństwa kobiecej tkliwości! Jak to, więc nie rozumiesz pani tego, że cię ubóstwiam, że całą wieczność pragnąłbym rozkoszować się eolskim dźwiękiem twego głosu, że każdej chwili pragnąłbym pić czar...

Dyń!... dyń!... dyń!... — odezwał się dzwonek.

— Ktoś dzwoni, niech pan idzie otworzyć!

— Przekleństwo! szatani!... o jakże niemilosierny...

Dyń!... dyń!... dyń!...

Usłyszeliśmy łoskot kroków, potem chrzęst drzwi otwieranych.

— Czego chcesz, kobieto?!

— Tego... ot: nafty za dziesiątkę.

— Idź precz, tu nie ma nafty!

— Ale bo...

— Precz! precz!...

Stukot rygli, stąpanie, ciąg dalszy.

— Że każdej chwili pragnąłbym pić czar niebiańskiego nektaru twoich ust...

— Co mi tam pan głowę zawraca!... wolałby mi pan dać słoik pomady topolowej...

— Dam, dam!... Twoich ust, przez które Kupido³² ciska palące pociski.

— Ale ja chcę porcelanowy słoik.

— Dam porcelanowy... Palące pociski trującej miłości...

— Ale taki z drewnianą nakrywką...

— Z drewnianą, z drewnianą!... Miłości, co w jeden wieniec splata...

Dyń! dyń!...

— O losie, coś mnie tu, jak Prometeusza przykuł! Kto tam?

Otwieranie drzwi.

— Ja proszę pana omyliłam się, bo to nie nafty, ino oleju rycynowego...

— Dość już!... dość! gdzie są pieniądze?

— A oto są! Pani mnie tak wybesztala...

— Dość już!... milcz!...

²⁹*paczula* — roślina stosowana do wyrobu perfum. [przypis edytorski]

³⁰*asafeda* — prawdop. asafetyda, przyprawa hinduska o nieprzyjemnym, intensywnym zapachu. [przypis edytorski]

³¹*millefleur* (fr.) — tysiąc kwiatów. [przypis edytorski]

³²*Kupido* (mit. rzym.) — bóg miłości, przedstawiany jako dziecko z łukiem. [przypis edytorski]

Słysząc otwieranie szaf, stawianie drobnych przedmiotów, wreszcie hałas rygli i powrót.

— A moja pomada, panie? — zaczyna młoda osoba.

— W tej chwili!... Pałace pociski trującej miłości, miłości, co w jeden wieniec splata ciernie z kwiatami...

Dyń! dyń! dyń!...

— O męczarnio! o tortury! — woła młodzieniec, biegnąc i otwierając drzwi.

— Rumianku rzymskiego, tylko prędko!

— Milcz! co mi tu będziesz rozkazywał?

— Niech no pan dużo nie gada, tylko rumianek daj, bo dziecko chore.

— Dosyć! Nie dam ci, jeżeli mi się nie podoba.

— Jak pan nie da, to ja stójkowego³³ zawołam. Widzisz go!

— Masz! idź precz, nędzniku!

Drzwi znowu zamknięte.

— Więc cóż pani?... więc cóż ty, Mario, na to? — pyta u fryzowana głowa, bardzo pośpiesznie wracając.

— Niech mi pan da pomady topolowej.

— Dam! ależ moje wyznanie?

— To się na nic nie zdało; pan nic nie masz...

— Mario, tylko się zgódź, a będę miał skarby całego świata! Jak skończę praktykę, opuścimy ten zmaterializowany gród, pofruniemy gdzieś w zapadły kątek prowincjonalny, tam na własną rękę otworzę interes...

Dyń! dyń! dyń!

— O Ferdziu! Ferdziu! przeklęty! i dlaczegoż nie przychodzisz uwolnić mnie z tych dantejskich oków? — lamentuje młodzian biegnąc znowu do drzwi.

W tej chwili ktoś do naszej komórki puka; dziewczę otwiera drzwi i mówi półgłosem:

— Zaraz, Ferdziu, zaraz!... Widzisz, muszę zaczekać, bo nie mam pomady na jutro.

— Pał go diabli! ja ci dam, ile zechcesz, tylko mnie nie nudź.

— W tej chwili.

— Otworzę interes — mówi wracając, melancholiczny młodzian — a wówczas, na łonie boskiej przyrody...

— Pomady, panie... pomady! — woła tupiąc nóżką aniołek.

— Pozwól, najdroższa!... Na łonie boskiej przyrody, z dala od złowróźbnych...

— Pomady! pomady!

— Z dala od złowróźbnych spojrzeń zawistnych szczęściu...

Dyń!... dyń!... dyń!...

— O nieba! — woła nieszczęśliwy kochanek biegnąc klusem.

— Czego ty chcesz, łotrze?

— Pro... pro... szę... pp... phana...

— Czego?... gadaj, bo cię rozedrę!...

— Pr... pr... pro...

Drzwi od komórki uchylają się.

— Maniu, bo odejdę! — mówi gniewny głos z sieni.

— Kto tam? — woła kochanek... — Panno Mario!.. gdzie ona?... Boże! o cieniu mej matki, jeszcze mi aptekę ten łotr okradnie. Czego chcesz, wysłańcze piekiel?...

— Pro... pro... proszę pana — n...

— Czego? gadaj, bo cię zamorduję!

— O ho... ho... ppo...

— Nie rozumiem?

— O... po... ho... delhetidok!

— Opodeldoku?... W tym kryje się jakaś piekielna intryga... Gdzie są pieniądze? Kto cię tu przysłał poczwaro?

— Ten pan co... hh... hbram... hh... bramie...

— Aaa... to on!...

³³stójkowy (daw.) — policjant. [przypis edytorski]

Wybiega do bramy staje na schodkach i krzyczy do osób, pośpiesznie siadających na sanki.

— Ferdynandzie! Mario!... o Mario... zdradziliście mnie!

— Nie trzeba krzyczeć po nocy!... a to się wszystkie ludzie w mieście pobudzą! — odzywa się w tej chwili surowy głos z kąta.

Młodzian odwrócił utrefioną³⁴ głowę, spojrział, odskoczył jak młoda antylopa na widok tygrysa, i z rozpaczliwą energią zamykając rygle, wyszeptał:

— Otóż to moja wigilia... oto wigilia sieroty! Boże! Boże!... czyliż mogę nazywać Cię miłosiernym?

*

O ludzie! i czymże jest samo nieszczęście gminu wobec świadomości nieszczęścia, jaką posiadają natury wyższe?...

³⁴*utrefiony* — ufryzowany. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-wigilia>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, *Nowele Warszawskie*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Londyn 1946

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0757-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).